



Kłątwa Wyspiańskiego, czyli tragicznych losów recenzentów ciąg dalszy

2021-03-17

„Zauważyłem odrazu (!), że zamach nastąpił o wiele wcześniej, aniżeli mnie wezwano, odnośnie zaś do p. Borowskiej, skonstatowałem ogromne jej rozdrażnienie, oraz przytoczony już wyżej fakt, że była najzupełniej ubraną”.

Powyższe zdanie to fragment relacji Kuryluka, medyka, który w nocy z 4 na 5 czerwca 1909 r. pełnił dyżur w krakowskim pogotowiu ratunkowym. Rzeczywiście sytuacja, jaką zastał w mieszkaniu na pierwszym piętrze kamienicy numer 28 przy ul. Sławkowskiej, musiała być dla niego pewnym zaskoczeniem. Na podłodze, pomiędzy pianinem a sofą, leżał mężczyzna z raną postrzałową na skroni, ubrany tylko w krótką, kolorową koszulę nocną, przykryty kocem, z poduszką pod głową. Był to znany krakowski mecenas Włodzimierz Lewicki, gwiazda krakowskiej palestry, a także poeta, dramaturg, publicysta, polityk oraz współpracownik „Głosu Narodu”, na łamach którego przed przeszło ośmiu laty zamieścił recenzję z prapremiery „Wesela”.

Czytamy w niej: „Dzieło Wyspiańskiego jest nietylko (!) literackiem (!), ale i polityczne m (!), polskiem (!) wydarzeniem dnia. Dawno już scena polska nie była tak polską, jak w sobotni wieczór, dawno już żaden poeta nie umiał tak »strzelać brzmiącymi słowami do serca współbraci«, jak Wyspiański w »Weselu«. Jak z powyższych słów widać, recenzja zapowiadała się wręcz entuzjastycznie. Jednak jej autor zauważał pewne, zresztą drobne, mankamenty. Pisał bowiem: „Jeżeli niejedno było dla szerszego ogółu niezrozumiałe, jeżeli forma była tu i owdzie niejasna – to przecież zrozumiałem w odczuciu każdej polskiej piersi było jedno, to co najważniejsze, najlepsze w dziele, najgodniejsze: wielka, jasna, choć łzawa i smutna idea, wielkie szczęście twórcy...”.

Subiektywna recenzja

Wiadomo nie od dziś, że recenzentowi trudno się wyzbyć własnych uprzedzeń i zdobyć na pełny obiektywizm. Tak było – co trzeba z ubolewaniem stwierdzić – także w przypadku mecenasa Lewickiego. Widać to wyraźnie w jego ocenie postaci Gospodarza, czyli Włodzimierza Tetmajera. Píše bowiem doktor Lewicki, że jest on „postacią stojącą na przełomie. Różny bardzo i bardzo daleki od innych panów z miasta w odczuwaniu i pojmowaniu ludu, nie wszedł przecież jeszcze zupełnie w treść duszy swoich najbliższych w siermiędze. [...] Będzie umiał lud zbudzić, ale nie będzie umiał wskazać mu dróg, kędy ma iść. Bo sam jeszcze tych dróg nie zna i sam jeszcze w czyn uwierzyć nie może. To zadanie pokoleń jutrzejszych, które wyjdą z takich węzłów, jakim on się związał z polskim ludem. Dzieci gospodarza, może będą swego zadania świadome, będą jednolitsze, bardziej i szczerzej do Polski ludowej przynależne”. Przyczyny niechęci trzeba szukać w tym, że Tetmajer był ludowcem, a mecenas Lewicki miał powody, aby za ludowcami nie przepadać. Będąc sympatykiem ks. Stanisława Stojałowskiego, dwa razy przegrał w wyborach wystawiony przez Stronnictwo Ludowe.

Recenzja kończyła się słowami: „I wszyscy płasają sennie i bezdusznie w kółko przy tej ponurej, jęklivej, strasznej jak śpiew puszczyka pieśni [c] hochoła! [...] Takie jest w ogólniejszych najgrubszych zarysach wielkie dzieło Wyspiańskiego, poczęte w głębokim, polskim, szczerym natchnieniu. Życ



będzie długo – dłużej, niż ów posępny »caducus« polski: może nawet doczeka chwili, gdy lud polski ani spojrzy za czapkę z piór, byleby miał złoty róg, co budzi i woła na świadomą i godną służbę Ojczyźnie”.

Tragiczny proces

Pisząc te słowa, miał Włodzimierz Lewicki niewiele ponad trzydzieści lat i odbywał jeszcze aplikację adwokacką, którą zresztą wkrótce miał z sukcesem ukończyć i zostać wpisanym na listę adwokatów. W osiem lat później był już znaną postacią. Popularność – a także i pieniądze – przyniosły mu liczne procesy. Jednak jeden z nich zakończył się dla mecenasa tragicznie, potwierdzając w ten sposób istnienie „klątwy Wyspiańskiego”. Procesem tym była „sprawa Janiny Borowskiej”. Owa Janina Borowska, „słuchaczka Wydziału Medycznego Uniwersytetu”, oskarżyła redaktora Emila Haeckera, że „sam napisał, a następnie w Nr. 124 Naprzód z dnia 5 maja 1908 r. wydrukować polecił artykuł p. t. »Szpieg«, zawierający ustęp, w którym zarzucił jej, że jest »szpiclem« rosyjskiej policji”.

Proces rozpoczął się 17 lutego 1909 r. Rozprawie przewodniczył radca wyższego sądu krajowego Raczyński. W skład zespołu sędziowskiego wchodził dr Korf i sędzia Kraus. Tłumaczem był mecenas dr Landy. Obecność tłumacza była niezbędna. Obrona jako świadka powołała bowiem Michała Bakaja, „nawróconego” funkcjonariusza rosyjskiej ochrony.

Proces trwał siedem dni. Przez salę sądową przewinął się długi szereg świadków wezwanych zarówno przez obronę, jak i przez stronę skarżącą. Było wśród nich wiele znanych postaci. Zeznawali m.in. dr Maurycy Kapellner, „lekarz krakowskiej miejskiej kasy chorych” (a w przyszłości, już jako Mieczysław Kaplicki, prezydent Krakowa), oraz dr Bolesław Drobner, chemik.

Ryzykowny romans

Oskarżony, którego bronił mecenas Heski, nie przyznawał się do winy. W swoim ostatnim wystąpieniu redaktor Haecker starał się sprawę rzucić na szersze, polityczne tło, mówiąc m.in. „I oto, gdy obnażyć chcemy jedną ze zbrodni prowokatorstwa, przedewszystkiem spotyka nas zarzut, żeśmy nie dość się przejęli polską kulturą, że jesteśmy wrogami narodu”. Oskarżenie dostało się także adwokatowi reprezentacyjnemu. Haecker zwrócił się do niego słowami: „Panie Lewicki, mój ojciec nie był Rusinem, ja nie kandydowałem na moskalofilskiego pośła z ramienia Stojałowskiego”. Można podejrzewać, że mecenas Heski nie był zachwycony takim zachowaniem swojego klienta, podobnie zresztą jak i sędziowie przysięgli. Emil Haecker skazany został „na karę 1 miesiąca aresztu, na zwrot kosztów postępowania karnego oraz na ogłoszenie wyroku na koszt skazanego w podanych przez oskarżycielkę czasopiśmie w ciągu dni 14 od dnia prawomocności wyroku”.

Taki wynik rozprawy był z pewnością dużym sukcesem mecenas Włodzimierza Lewickiego. Niestety sprawa miała także drugie oblicze. Otóż Lewicki nawiązał romans ze swoją klientką. Wykazał się w ten sposób wielką nieostrożnością. Po pierwsze, mogło to zaszkodzić jego matrymonialnym planom. Od pewnego czasu był bowiem zainteresowany posażną wdową, hrabiną T. Małżeństwo takie znacznie podniosłoby jego – i tak już wysoką – pozycję. Po drugie, mecenas Lewicki, jako doświadczony prawnik, powinien wiedzieć, że Borowska nie jest osobą, którą można zlekceważyć.



**Magiczny
Kraków**

Romans został zerwany, ale adwokat nie chciał zwrócić swojej byłej klientce miłosnych listów. Borowska potraktowała sprawę bardzo poważnie. Odwiedziła Lewickiego w jego mieszkaniu. W czasie wizyty, jak twierdziła, spalili listy, a gospodarz był na tyle taktowny, że strzelił sobie w głowę z rewolweru. Tej wersji wydarzeń nie był w stanie podważyć nawet zaangażowany w śledztwo inspektor Bronisław Karcz. Borowską uniewinniono.